

Wdzianko dla Przemysła

Mobilizacja społeczników

Osiedle przy ul. Galińskiego ma wielu zagorzałych społeczników. Dzięki ich niezłomnej pracy otoczenie nabrało

estetycznego wyglądu: powstały kwietniki, zasadzono drzewka oraz uporządkowano — znajdujące się w sąsiedztwie

bloków — skarpy. Osiągnięciem dużej miary są dwie świetlice: w „Podzamczu” rej wodzi młodzież, natomiast „Zak” stanowi królestwo dzieci. Z myślą o rozwinięciu szerszej działalności kulturalno-oświatowej nawiązano niedawno kontakt z kołem ZMS przy Przedsiębiorstwie Budownictwa Komunalnego.

Osiedlowe kółka: Ligi Kobiet i Towarzystwa Przyjaciół Dzieci ubiegają się o założenie ogródka jordanowskiego. Troską komitetu blokowego jest odgrozdenie łańcuchami chodnika od jezdnii oraz oznakowanie ulicznych przejść dla pieszych, a także ustawienie ławeczek, na których mógłby spocząć znużony przechodzień.

Miło nam donieść, że na szczególne wyróżnienie, za aktywną działalność społeczną, zasłużyli mieszkańcy bloku nr 5. Dziwimy się mocno obojętności cechującej lokatorów dwóch pozostałych bloków: nr 3 i 9. Przecież dbałość o dobro osiedla winna charakteryzować wszystkich. Wiadomo poza tym, że wspólnie można działać więcej, łatwiej i szybciej. Żywimy nadzieję, że ta podstawowa prawda dotrze do świadomości tutejszej mikro-społeczności, a wyrazem zrozumienia będzie masowy udział mieszkańców osiedla w wiosennych porządkach.

(ho)

Fot. J. MENDYCHOWSKI



Sroda

8 kwietnia 1970 r.
Nr 14 (127) Rok IV
Cena 2 złote
Nakład 9 687 egz.

TYGODNIK
SPOŁECZNY

PRZEMYSKIE

ZAPRASZAMY na

wojewódzką akademię z okazji DNIA PRACOWNIKA SŁUŻBY ZDROWIA, która odbędzie się 11 kwietnia o godzinie 16-tej w sali WOSTiW „Bieszczady”.

W części artystycznej wystąpi zespół „RZESZOWIACY” z WSK w Mielcu.

Burza w filizance kawy

Patrycjusz i Tygrysy

Międzynarodowy Klub Prasy i Książki winien spełniać kilka funkcji, jakich wymaga się od tego typu placówek. Ma to więc być przede wszystkim i po prostu czytelnia, udostępniająca prasę polską i zagraniczną oraz miejsce różnego rodzaju odczytów i prelekcji. Wiem z doświadczenia, że w całej niemal Polsce kluby te nie zawsze spełniają zaplanowaną dlań rolę, będąc często miejscem spotkań towarzyskich określonej grupy pseudo-intelektualistów. Tylko, że w innych miastach (choćby w Krakowie czy Toruniu) istnieją dwa pomieszczenia: jedno to czytelnia, gdzie rzeczywiście czyta się prasę — drugie, to barek kawowy, gdzie można napić się kawy i chwilę półgłosem porozmawiać. Jaki zaś jest nasz przemyski „empik”?

Ta olbrzymia, świecąca czerwienią nad Przemysłem neonowa reklama, ze strzałką prowadzącą wprost do wnętrza — wskazuje drogę nie do Międzynarodowego Klubu Prasy i Książki, (jak się to formalnie nazywa i czym być powinno) lecz po prostu do kawiarni, w której niewielu w ogóle cokolwiek czyta.

Przed południem spotykają się tu ludzie, których interesują wszystkie sprawy — z wyjątkiem własnych — i którzy mają czas na nie kończące się pogawędki i brzydkie obmawianie bliźnich. Tu dowiedzieć się można, jaki płaszcz na wiosnę będzie miała panna Irena, kto aktualnie sypia z panią Iksińską, kto jest świnią, a kto porządny człowiek i za co zamknął wkrótce Kowalskiego. Otoczone siwymi kębami dymu, pochlipujące resztki kawy niebezzwrotnie wydobywanej z fusów, siedzą korpulentne matrony i obmawiają, plotkują, spozierają, konkludują...

Obok nich podkasane dziewczątka w spódnickach do jednej trzeciej uda i z ogromnymi papierosami w rozcapierzonych palcach zaśmiewają się z dowcipów obrośniętych zmarzluchów, którzy „wdepnęli” tu tylko celem rozgrzania zziębniętych członków.

Przy innym stoliku, z inteligentnym błyskiem w oku, siedzą mężczyźni-podrywawcy, przysłonieni czasami jakąś konieczną obcojęzyczną gazetą i upatrują ofiary, do której za chwilę się przysiądą, opowiedzą wyuczone frazesy, dowcipnie i mądrze, by oczarować i upoić wybrankę swym kółtunerskim, ramowym intelektem i porwać oczarowaną, naiwną istotkę w wir niepojętej dążności do arcykulturalnego, światowego życia. Podtuszali satyrowie „na stanowiskach...”

Po południu KAWIARNIA zamienia się w coś jeszcze gorszego. W hallu obejmujące się pary przesiadują na parapetach czekając, aż ci z wewnątrz przestaną głośno rozprawiać i zrobią im miejsce. Czekają oczywiście bardzo długo!

Najgorsze, jeśli jest jakiś dobry i interesujący odczyt. Wtedy to już pogadać się nie da i trzeba przenieść się do innego lokalu, gdzie nikt mądrym słowem nie przeszkadza w niewybrednej dyskusji.

W „empiku” — jak w rodzinie! Wszyscy się znają, wszyscy kłaniają się sobie o określonej porze („witam panią dok-

torowa”, „moje uszanowanie dla pana mecenasa...”), co do minuty dopijają kawę i co do sekundy — nazajutrz — zjawiają się ponownie, starsi o jeden dzień zasobniejsi w najnowsze wiadomości.

Wybaczcie mi ci wszyscy, którzy przychodzicie tam naprawdę tylko po to, aby skorzystać z ulubionego tygodnika, by przy kawie — po dniu solidnej pracy — przeczytać coś ciekawego, zrobić notatki, wysłuchać wybranej prelekcji. Wy — jakże nieliczni! — których tak samo zapewne mierzi i złości atmosfera tego „międzynarodowego” przybytku, którzy życzyliby sobie ciszy w nim i spokoju.

Legitymowanie przy wejściu ludzi — celem sprawdzenia ich wieku — jest dla mnie oczywistym nonsensem. Czy młodzi ludzie, którzy nie ukończyli osiemnastego roku życia, nie mają prawa do poczytania gazety? Należałoby raczej zwracać uwagę tym, którzy przychodzą tu tylko w swoich prywatnych interesach, lekceważąc słowo drukowane, w głos rozmawiając i analizując nazbyt dokładnie każdego po kolei. Takim wręczałbym siłą gazetę i zmuszał do czytania — z korzyścią dla nich i dla innych.

Kierownictwo Klubu MPiK uciekało się już niejednokrotnie do pomocy milicji. Gdyby był to sporadyczny wypadek, nie wspominałbym o nim nawet — jeśli zaś powtarzało się to już kilka razy, jest dowodem, że coś niedobrego się dzieje. Klub MPiK, to nie przystało dla nie lubiących domu — ale czytelnia, w której obowiązują pewne rygorystyczne zasady. To nie jest miejsce dla plotkujących dam, którym w domu przypała się obiad, dla nieuczającej się młodzieży, dla „męskich, ułomnych tygrysów” — lecz pomieszczenie dla tych, dla których klub ten projektowano z myślą o udostępnieniu rzeczy ciekawych, o zaspokojeniu potrzeb duchowych tym, którym są one potrzebne. Należy więc z całą bezwzględnością wskazywać palcem drzwi zakłócającym spokój czytelnia, kierując ich do kawiarni, gdzie nie przeszkadzając nikomu zaspokoją swoje „wewnętrzne potrzeby”.

Aż dziw bierze, jak dobrali się w MPiK-u wszyscy wielcy ludzie od małych spraw! Wylęczając oczywiście kilku nielicznych, którzy — jestem pewien — przyznają mi całkowitą rację i o których gdyby tu nie wspominał, winien byłbym im uroczyste przeprosiny.

Wiemy, że kierownictwo klubu planuje w najbliższej przyszłości utworzenie tzw. „cichej czytelnia”. To bardzo mądra myśl. Tylko — chciałbym zapytać — czy w ogóle istnieje „głośna czytelnia”? Nie mam zamiaru absolutnie obafać odpowiedzialnością za ten stan rzeczy personelu MPiK-u. Ci ludzie dokładają wielu starań, by w klubie panował należyty ład i porządek, należą im się nawet słowa uznania. Krytyka odnosić się ma wyłącznie do tzw. stałych bywalców, a mówiąc ściślej, do określonej na wstępie (niestety dość licznej) ich grupy. Żeby sobie zapamiętali: klub to nie kawiarnia.

MARCIN NOWINA

P.S. Ostatnio dowiedziałem się, że w „empiku” zatrudniono nowego pracownika na etacie... „wykidajty”. Jak w najlepszej knajpie! Kogo będzie ów siłacz wrzucał? Proponuję, aby dobrać się do tych wszystkich, których powyżej enumeratywnie wylczyłem.

M. N.

Przebiegię
Przebiegię

PODCINANIE SKRZYDEŁ

Nawiązując do artykułu pł. „Selektywność na sportowo”, zakończonego niedwuznaczną zachętą do dyskusji na temat przykroczenia szerokiego frontu działalności przemyskich klubów sportowych, pozwól sobie wyrazić własny pogląd na te sprawy.

Jakkolwiek w wielu wypadkach poglądy pana „ner” wyrażane dotychczas na łamach „ZP” na tematy sportowe byłem skłonny popierać, tak tym razem nie mogę zgodzić się z jego zdaniem. Z analizy różnych artykułów na łamach gazet i czasopism sportowych, jak również niezbyt śmiałych wypowiedzi zasłyszanych wśród ludzi piastujących kierownicze stanowiska w organizacjach sportowych wynika, że nastąpiła moda na organizowanie tzw. „stajni zawodniczych”. Do czego to się sprowadza — opinia sportowa jest zorientowana. Wydaje mi się, że taka polityka zamiast poprawić sytuację polskiego sportu, znacznie ją pogorszy. Zabierając talenty z prowincjonalnych klubów podcina się skrzydła wprawdzie nie wybitnych zespołów, to jednak takich, które wykazywały żywotność i niejednokrotnie na swoich barcach dźwigały ciężar tradycji, stanowiły moralny doping dla działaczy w innych klubach na terenie naszego województwa, a tym samym przyczyniły się do zawiązania sekcji dziś zajmujących czołowe miejsca na Rzeszowszczyźnie i mających w swojej ewidencji członków lub kandydatów do kadry narodowej. Wspominał o takiej polityce czy nazwijmy to modzie na organizowanie czołówek reprezentacyjnej (tak okręgowych związków, jak i kadry narodowej) ponieważ pociąga to za sobą oczywisty wzrost nakładów finansowych na pracę z tą czołówką, a ponadto większą szansę materialnej pomocy niektórym sekcjom sportowym kosztem innych, słabszych, działających poza zasięgiem szkodliwej ręki potentatów przemysłowych, a na dodatek nie zawsze odpowiednio traktowanych przez instytucje i organizacje powołane do koordynacji i pomocy materialnej klubom w terenie.

Jestem przekonany, że zdanie Pana „ner” wyrażające się dyskusyjnym podważeniem celu

(Ciąg dalszy na str. 2)

Czystość — wizytówką Przemysła

„Już wkrótce autobus „0”

Miejskie Przedsiębiorstwo Komunikacyjne uruchomi w niedługiej przyszłości nową linię autobusową „0”. W tej chwili trwają dyskusje nad ustaleniem rozkładu jazdy i trasy. Wg wstępnego projektu „0” kursować będzie u-

licami: Marchlewskiego, Grunwaldzka, plac Konstytucji, Rynek, Tysiąclecia (lub ul. Jagiellońska), plac na Bramie Smolki, Leszczyńskiego, 1 Maja, Siemiradzkiego, Bohaterów Getta, Borelowskiego 29 listopada, 3 Maja, Marchlewskiego.



8 marca
 Notuję ciekawą bajkę. Oto odbywają się podobno rokowania pokojowe w Kopenhadze, a warunkiem pokoju ma być stworzenie niepodległej Polski. Ot marzenie! Jakby sumienie Europy mogło się dać wzruszyć?

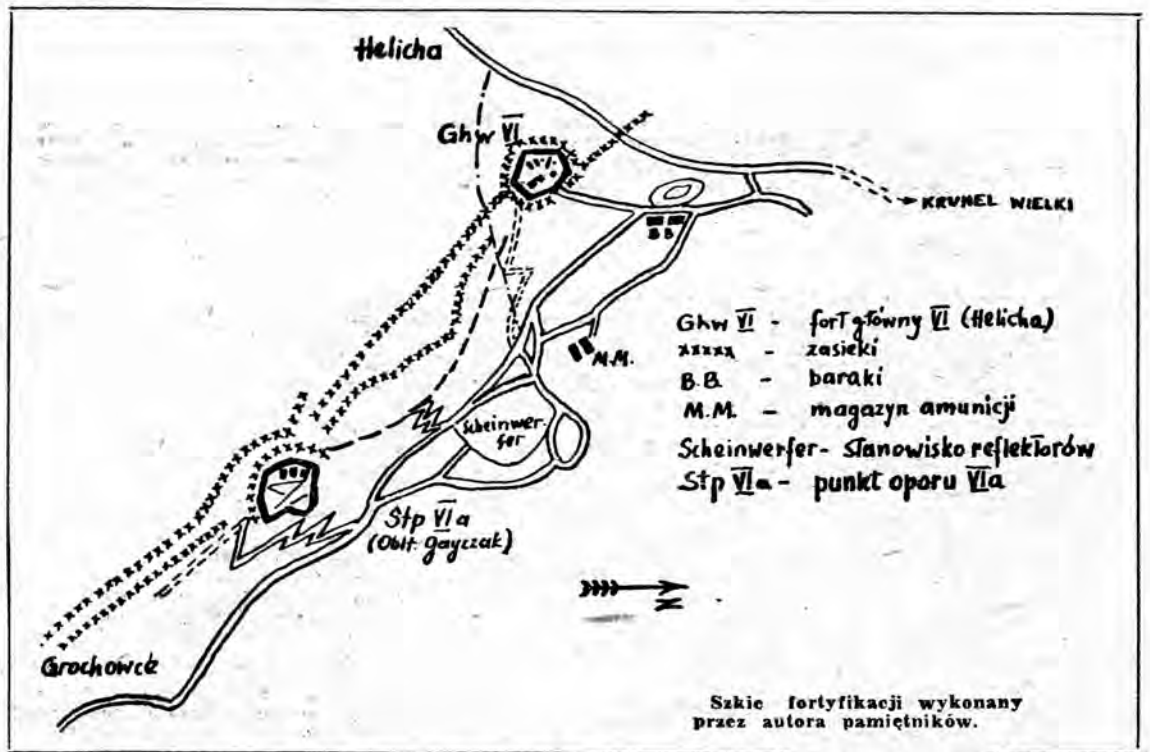
13 marca
 Sobota. W nocy okropna kanonada w Żurawicy. Wstałem w nocy i ubrałem się, bo zdawał mi się koniec świata. Ogień trwał od 11 do 4 rano. Między 3-cią a 8-mą szturm Moskale na „Na górach”, które zdobyli. Wieczorem czynię przygotowania do odparcia szturm — przypuszczam, że Moskale na nas uderzą.

17 marca
 Byłem w mieście. Oddałem kuferek z rzeczami, bielizną itp. z prośbą o przechowanie aż na czas po wojnie. Pobrałem pieniądze dla nas za kwiecień, dla ludzi po koniec marca. Kusmanek wyrusza na czele 2 dywizji, aby się przebić — wszystko widziałem zapakowane, gotowe kuchnie polowe itp. Artyleria forteczna już podjechała do miasta. W intendencie rze ogromnie dużo ludzi. Likwidator od czterech nocy nie spał. 19 III maja spalił wszystkie papiery. Potwierdził mi tę wiadomość Herman. Spala także pieniądze papierowe,

dlatego też dzisiaj w kasie ofiarowano wszystkim pieniądze drobne (srebro). Wziąłem sobie na wszelki wypadek 50 koron w srebrze.

18 marca
 Czwartek. Ostatnie dni Pompei. Co tu się dzieje niemożliwie opisać, praca gorączkowa trwa dzień i noc. Kusmanek dzisiaj wieczór odchodzi. My zostajemy, jako tylna straż, a cofając się od zachodu na wschód mamy niszczyć wszystko, co się zniszczyć da. Werki już podminowane. W moim werku wszystko przygotowane do rozbicia, oprócz tego przygotowałem naftę, aby wszystko spalić. Wypłacono ludziom wszystko do końca marca. Przedpoła już nie istnieją, mimo to Moskale nie posuwają się naprzód. Widocznie boją się, że wszystko podminowane.

19 marca
 W nocy straszny huk armat, widocznie odbył się atak. Nad ranem wystrzały słabną, a zatem albo cofnięcie ich, albo się szcześliwie przebili. Czytałem ostatni rozkaz Kusmanka. Polecenia były jasne: iść prosto przed siebie w wyznaczonym kierunku, jeńców nie brać, broń niszczyć, a ludzi wypuszczać — oficerów jednak brać ze sobą. Mgła panowała okrutna, na 10 kroków nie widać nie było moż-



na, aż do 10 rano; dla nich rzecz znakomita! Siedlika strzelali aż do 11 rano potem ustali, boję się czy nie z powodu cofania się. Obawy moje i przewidywania potwierdziły się. Kusmanek został pobity, plan był zdradzony. Moskale czekali na niego z ciężką artylerią! Na nieszczęście panowała taka straszna mgła, (ręka Boska?), że nasze armaty jednego strzału trafnego oddać nie mogły.

W mieście straszna panika, ludzie płaczą, magazyny otwarto i rozebrano natychmiast. Po południu otrzymałem posiłki, całą kompanię i o-

strzeżenie, że będzie szturm w nocy. Idioty? A po co? Moskale atakowali, skoro za 2-3 dni dostaną twierdząc bez wylotu jednej kropli krwi. Przy puszczeniu, że się toczą pertraktacje, widocznie chodzi o to aby twierdząc uzyskać bez rozbicia we-ków. Wszyscy głowy potrącają, jeden rozkaz ściga drugi, a jeden niedorzeczniejszy od drugiego.

20 marca
 Nadeszła depesza od Cesarza, w której dziękuje za ostatecznej swej akcji. Wysłano

parlamentarza z żądaniem przyznania armii przemyskiej wolnego odejścia z bronią w rękę — co odrzucono. Kusmanek ciężko chory. Jak długo się jeszcze trzymać będziemy, o tym rozstrzygnie ostatnia konstatacja. Czy miasto ma tym nie ucierpić. Bo Honwedzi — a może i nasi gotowi plądrować. A co wtedy? To też bohaterstwo — rzecz piękna, ale i biedne miasto zasługuje na względy ludzkie. Wczoraj przez cały dzień rzucono do Sanu armaty i broń wszelkiego rodzaju. Na miasto padło około 30 granatów.

DYNAMOMETR DZIADKA LEWICKIEGO

Z dzieciństwa pozostał mi w pamięci taki oto obrazek. Wiejską drogą jedzie rozkolekotany wóz na żelaznych kołach ciągnięty przez niezmiernie chudą szkapę, a jego właściciel w sfatygowanym, opadającym na oczy, kapeluszu woła donośnym głosem: — Szmaty, żelazo kupuję... Szmaty, dziurawe garniki... — Dziadek Lewicki przyjechał... niosła podworkowa poczta. Zaraz też ruch się robił w zagrodach. Dzieci wyszukiwały rozmaite żelastwo i wynosiły z za opłotków tyle, ile tylko zdołały udźwignąć. Transakcje przebiegały niezwykle ożywienie, jako, że dziadek patrzył jak by tu „oszwabić” małą, a i oni nie byli w ciemności. Trwały zatem zawzięte targi. Zdarzało się również, że chłopak targał z powrotem zdezelowaną część siewczarni. Ważyło „toto” bowiem sporo, nawet sprężyny w starym dynamometrze nie starczyło, a dziadek dawał za ledwie dwa złote... Mijały bezpowrotnie czasy dynamometru dziadka Lewickiego, chodzącej reklamy hasła w rodzaju: „Makulatura cennym surowcem” i innych, który od czasu do czasu „przechasywał” zagracone zaplecza naszych domostw. A szkoda. Nie wszystko bowiem kwalifikuje się do wrzucenia na zwyczajny śmietnik, a poza tym — co tu dużo mówić — każdy grosz jest miły sercu. Butelki sprzedajemy w sklepach monopolowych, nieraz

jednak stajemy przed dylematem, co począć z resztą. Nie każdy wie, że gdzieś tam na krańcach miasta istnieje zbiornica surowców wtórnych... A tutaj, na tydzień przed świętami, ruch panował niezłym w ulu. Wiadomo — ferie, wdzięczne pole do popisu dla dzieci szkolnych. Co operatywniejsze spenetrowały skrzętnie nie tylko komórki i strychy w swoim bloku, lecz także ogolociły z rupieci domy sąsiadów w najbliższej okolicy. Zbieracze najwyższej ceną sobie „kolorówkę” (pod tym pojęciem kryją się metale nieżelazne: miedź, mosiądz, aluminium, ołów i cynk). Gdy się natrafi na ten cenny złom — fart zapewniony. Kilogram miedzi kosztuje 6 zł, a ołowiu — złotych 4, co w porównaniu z groszowymi (od 60 do 65 gr/kg) stawkami za żelazo jest sumą iście bajką... Oprócz bywalców sezonowych, rekrutujących się spośród młodzieży szkolnej, którzy do zbiornicy zagładały w określonych porach roku (wspomniane już ferie świąteczne i wakacje), placówka ta posiada również swoich stałych dostawców. Kilku z nich — m. in. Roman Wojnarowski, Cecylia Kilian, Józef Mandzyn, Mirosław Polko — jest tutaj codziennymi gośćmi. Nigdy nie przywoła mnie niż za słówką, a zasoby „nieużytków” wydają się być niewyczerpane. Co miesiąca z bakończyckiej zbiornicy wysła-



się przeciętnie ok. 150 ton rozmaitego kalibru surowców do powtórnego przerobu. Jedni znoszą, drudzy przeszukują zwaliska żelastwa, wynajdując rzeczy, z których przy odrobieniu pomysłowości wyczarować można całkiem jeszcze przydatny detal. „Poszukiwacze skarbów” weszła najczęściej za słupkami ogrodzeniowymi, drutem zbroje-

niowym, częściami silników, maszyn i urządzeń. Kalkuluje im się ten proceder, jako że stawki są minimalne (ok. 2 zł za kilogram), jedynie przy zakupie części samochodowych i silników obowiązuje nieco odmienna taryfa, uzależniona od opinii komisji rzeczoznawców.

Powiatowa Zbiornica surowców wtórnych, złom żelaza i metali kolorowych przy GS „Samopomoc Chłopska” Przemysł — Wieś posiada jeden punkt skupu w mieście przy ul. Grunwaldzkiej oraz filie działające przy GS-ach w Birczy, Dubiecku, Medyce, Orlach i Żurawicy. Adresy warto zapamiętać, by odwiedzić te placówki przy okazji sezonowych remanentów.

Fot. T. Z. big.

W KWIETNIU - WYNIKI PLEBISCYTU
 Podanie do publicznej wiadomości ostatecznych wyników plebiscytu sportowego ogłoszonego przez MKKFiT, kluby sportowe ZM ZMS i naszą redakcję połączone z wręceniem nagród odbędzie się już w tym miesiącu. O szczegółach poinformujemy.

Marginesy ludzkiego sumienia Gdy braknie rodzinnego ciepła...

Józef Kasprzyk, mieszkaniec Rudawki — człowiek, którego los skazał na samotność w ostatnich chwilach życia. Ma 72 lata. Jest ojcem dwu córek i syna. Żona — Katarzyna — obecnie również staruszka, opuściła go po 32 latach wspólnego pożycia, podobno... z zazdrości; zwaśniona z mężem do tego stopnia, że na delikatnie zadane pytanie: — Dlaczego przynajmniej teraz, z czysto ludzkich względów, gdy zapadł on poważnie na zdrowiu i gdy prawie od dwóch miesięcy nie opuszcza łóżka — nie powróci pod wspólny dach, by zaopiekować się niedolnym?... — odpowiada ze złością: — Niech zdycha! Wtedy dopiero sprowadzę się do domu... Mieszka u córki Marii, niedaleko — zaledwie 200 m od męża.

To, że Józef Kasprzyk, mimo ciężkiej choroby, jeszcze żyje (zapalenie płuc, astma, schorzenia nerek) jest zasługą sąsiadów, którzy przynoszą — od czasu do cza-

su — kawałek chleba i trochę zupy oraz dzięki wspomnianej już córce Marii zakupującej dla ojca leki i odwiedzającej go przy okazji... oporządzania krowy będącej jej własnością, a trzymanej w domostwie Józefa.

Brak należytej opieki oraz rodzinnego ciepła i serdeczności psychicznie załamał Józefa Kasprzyka. Oczekuje on śmierci jako wybawienia z życiowej tragedii.

Człowiek, który przeszedł nie jedno — wystarczy powołać się na jego wojenne wspomnienia — i powinien resztę żywota dokonać w spokojnej starości, został niemal zupełnie opuszczony przez najbliższych, pozbawiony odrobiny serca i wyrozumiałości. Stał się człowiekiem nie tylko już niepotrzebnym, ale nawet niewygodnym.

Fot. J. LESNIEWSKI

Z OSTATNIEJ CHWILI
 Jakże dziwne bywają koleje ludzkiego losu... Otrzymałszy informację, że przed kilku dniami w wyniku nieszczęśliwego wypadku zmarła Katarzyna Kasprzyk — żona Józefa.



Muzyczny KRAMIK

Z KRAJU

W najbliższym czasie nkaże się w sprzedaży czwarty long-play SKALDÓW pt. „OD WSCHODU DO ZACHODU SŁONCA”, na którym znajdują się m. in. piosenki „MATEUSZ” i „NADEJDZIESZ OD STRONY MORZA”.

W zespole CZERWONE GITARY miejsce KRZYSZTOFA KLEN-CZONA zajął DOMINIK KONRAD.

„Polskie Nagrania” zapowiedziały na kwiecień pierwszy long-play MARYLI RODOWICZ — „ZYJ MÓJ ŚWIECIE”.

ZE ŚWIATA

CZESŁAW NIEMEN — WYKONAWCA ROKU 1969 W POLSCE (wg czytelników „Panorama”) nagral w Włoszech z towarzyszeniem zespołu ENIGMATIC i znakomitego jazzmana ZB. NAMYSŁOWSKIEGO już drugi singel z piosenkami „24 ORE SPESE BE NE CON AMORE” i „UNA LUCE MAL ACCESSA”.

CHICAGO TRANSIT AUTHORITY, to amerykańska grupa, która zdobyła popularność dzięki nowej wersji utworu „I'M A MAN” z repertuaru nie istniejącego zespołu SPENCER DAVIS GROUP. A oto skład tej grupy: TERRY KATH — gitara, PETE CETERA — gitara bass, JAMES PANKOW — puzon, WALTER PARAZAIDER — sax tenor, LEE LOUGHNANE — trąbka, DANNY SERAPHINE — perkusja, ROBERT LAM — organy.

Ostatnio panuje moda na nagrywanie tzw. oper beatowych. Najnowszy long-play zespołu KINKS nosi tytuł „ARTHUR”. Jest to opera beatowa. Wcześniej operę beatową nagral inny zespół brytyjski WHO pt. „TOMMY”.

Coraz większą popularność na amerykańskim rynku płytowym zdobywają trzy nowe zespoły: TAJ NAHAL, KILLING FLOOR i NEW RHYTHM AND BLUES QUINTET.

Wg nieoficjalnych wiadomości STEVE WINWOOD i CHRIS WOOD na nowo utworzyli grupę TRAFFIC a JIMI HENDRIX tworzy wspólnie z BUDDY MILESEM nową super grupę, do której ma wrócić jego były basista NOEL REDDING.

FENIKS

Piosenkarki zespołu „Zydrzysowie” z Dubiecka:



EWELINA BUKALA,



KRYSTYNA KŁOSOWSKA,
Rys. E. Kmieciak

SPORTOWE REMANENTY

Na marginesie jednej porażki

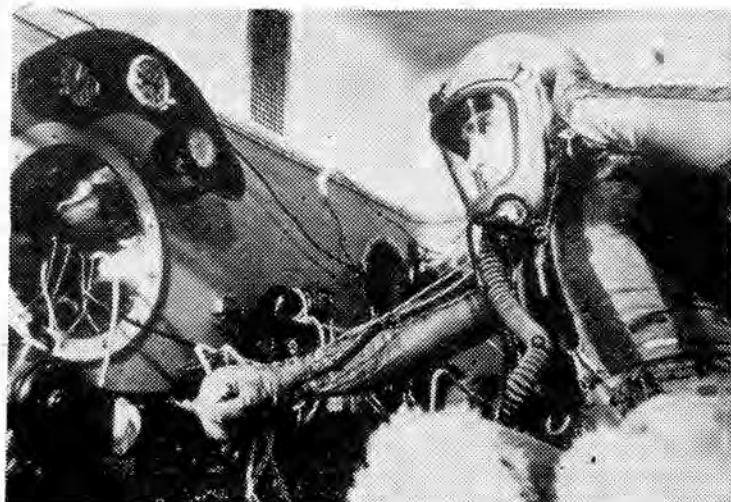
W sporcie zdarzają się oczywiście różne wyniki, ściśle mówiąc rozmiary zwycięstw i granice porażek. Dlatego chociaż klęska, jaka przydarzyła się dziewczętom ze Szkoły Podstawowej Nr 5 w Przemyślu, w spotkaniu wojewódzkiej ligi koszykówki — może wywołać co najmniej zdziwienie — moje rozczarowanie w tym przypadku nie jest aż tak duże. Po prostu zdaje sobie sprawę z różnicy możliwości treningowych, posiadanych przez rzeszowską „szesnastkę”, a naszą „piątkę”. Zwycięzcy (w astronomicznym stosunku 56:0) dysponują do wolnej ilością godzin w własnej sali gimnastycznej, nasze uczen-

nice „zaglądają” zaś 2 razy w tygodniu po 45 minut na halę (licząc czas na ubieranie się i rozbieranie)...
Zupełnie inaczej rozpatrywać należy przegraną wspomnianych dziewcząt przemyskich z nieznaną szerzej drużyną szkolną z Bukowskiej pow. sanockim. W zagubionej w przybyszczadzkich ostępach wsi, tamtejsze dziewczęta nie widzą nigdy meczu koszykówki — nie sędzą też, aby miały one szanse trenowania na sportowej hal, kto wie czy uczy ich nauczyciel z dyplomem uczelni wychowania fizycznego. A jednak zrobiły psikus, pokonując przemysłanki...
Nie warto jednak rozdzierać

szat i biadać nad niekorzystnymi dla naszej opinii — wynikami szkolnych rozgrywek.

Warto i trzeba natomiast zastanowić się nad sytuacją kryzysową, w sporcie kobiecym naszego miasta, poddać analizie przyczyny takiego stanu. Nie uzurpując sobie prawa do wypisywania uniwersalnych recept pragnę zasygnalizować jakąś dziwną niechęć klubów do zajęcia się problemami sekcji żeńskich. Swoisty antyfeminizm datuje się w klubach od dawna. Chlubnym wyjątkiem jest może Czuwaj, gdzie lekkoatletki i pływaczki wyrobiły sobie wiele praw w klubowych władz. Do roboty szkoleniowej z dziewczętami nie garną się najlepsi trenerzy; wolą trenować najtrudniejszy zespół męski, niż edukować pleć nadobną.

SZKOŁY PODOFICERSKIE — DROGĄ DO ATRAKCYJNEGO ZAWODU



Współczesny podoficer, to specjalista w określonej dziedzinie, zaangażowany w sprawy umacniania gotowości bojowej, posiadający jednocześnie szerokie zainteresowania zagadnieniami społecznymi, politycznymi, kulturalnymi i technicznymi. Podoficerowie zawodowi pełnią służbę we wszystkich rodzajach wojsk i służb, m. in., jako dowódcy drużyn, pomocnicy dowódców plutonów, dowódcy plutonów, szefowie pododdziałów, radiotelegrafistów, mechanicy silników wysokoprężnych oraz pracownicy odpowiedzialnych odcinków gospodarki i administracji wojskowej. Podoficerem powierzono niezwykle ważną i odpowiedzialną pracę, jaką jest opieka nad młodymi obywatelami powoływani corocznie do odbycia zasadniczej służby wojskowej i przygotowania ich do obrony kraju. Stąd też ci, którzy chcą pełnić te zaszczytne i odpowiedzialne funkcje, muszą być ludźmi o wysokich wartościach moralnych i politycznych. W ich ręce bowiem oddaje się sprawy dużej wagi. Istnieje wiele różnych szkół podoficerskich, oferujących nie tylko atrakcyjny zawód, lecz

zapewniających także później niezwykle korzystne warunki pracy. Przykładowo wymienić można PODOFICERSKĄ SZKOLĘ ZAWODOWĄ MARYNARKI WOJENNEJ, WOJSK INŻYNIERYJNYCH, WOJSK LOTNICZYCH, WOJSK RAKIETOWYCH, RADIOTECHNICZNYCH, SŁUŻBY SAMOCHODOWEJ i wiele innych. Po ukończeniu jednej ze szkół, podoficer zawodowy otrzymuje odpowiednie stanowisko, uzależnione od posiadanych kwalifikacji i uzdolnień oraz możliwość służbowe. Warunki pracy są również bardzo intratne — poza tym przysługuje mu prawo do bezpłatnej pomocy lekarskiej, korzystania z wojskowych domów wypoczynkowych i sanatoriów, ulg przy przejazdach państwowymi środkami lokomocji itp.
Dla młodych ludzi, chcących zdobyć dobry zawód, podoficerskie szkoły zawodowe są obywatelską szansą. Zainteresowanych kierujemy więc do Powiatowego Sztabu Wojskowego, który udzielić może szczegółowych informacji i pomoże w znalezieniu naprawdę atrakcyjnej pracy.

(jm)



ORTALIONO ITALIANO

Na wystawie jednego z przemyskich sklepów prywatnych widnieje — przyklejona do ortalionowego płaszcza — tabliczka z napisem: „ortaliono italiano”. Reklama, choć obcojęzyczna, dziecinnie jest prosta, bo i „ortaliono” wszyscy rozumieją i z „italiano” większych kłopotów być nie powinno. W sumie całość fonetycznie efektowna, podkreślająca zarazem zagraniczne pochodzenie towaru, a to jak wiadomo — u nas się liczy.

Nie wiem, czy Antoni F. nabył swój ortalion w tymże,

dbającym o reklamę sklepie — wiem natomiast, iż Antoni płaszcz taki posiadał, a dziś nie posiada. Wiem zresztą znacznie więcej na ten temat, bo czytałem akta sądowe, a tam piszą dokładnie i szczegółowo. Było to więc mniej więcej tak: Antoni F. dokonał wiosennego zakupu w postaci włoskiego ortalionowego płaszcza i przystroiłszy się weń wyszedł zaprezentować nowy nabytek szerszej publiczności. Chodził ulicami naszego miasta, wypreżony i ważny, a nowe okrycie mile szeleściło, zwracając nań u-

wagę przechodniów. Po którymś tam przejściu ulicą Tyśiąclecia napotkał dwóch znajomych, Józefa C. i Wiktora Z.

— Antek, bój się Boga, co ty masz na sobie? — krzyknęli chórem dwaj napotkani, po czym stwierdzili, że trzeba to koniecznie oblać.

Weszli więc razem do restauracji, gdzie w błyskawicznym tempie opróżniono butelkę wódki i poczęto „węszyć” za następną. Antoni F. nie wykazywał jednakże ochoty do dalszego fundowania — poza tym bał się, aby jakiś rozochocony „tubylec” nie przypalił mu płaszczyka papierosem, bądź nie polał piwkiem. Zaproponował zatem dwóm przyjaciółom kupno wina. Z trzema butelkami, cała trójka udała się na zamek, by obok baszty dokonać ceremonii wypicia. Poszło im to nadzwyczaj gładko i po chwili butelki były całkowicie puste. Wówczas Wiktor Z. zbiegł do

miasta, skąd przyniósł jeszcze dwie buteleczki, które rzecz prosta szybko opróżniono, „żeby płaszczek dobrze się nosił”.

W pewnym momencie Józef C. zwrócił się do Antoniego tymi słowami:

— Antek, pokaż-że ten ortalionik, zobaczymy, czy jest mi w nim ładnie, bo na tobie wisi on jak siermięga.

— Tego się nie pożyczysz — odpowiedział właściciel płaszcza, a widząc upór bijący z twarzy przyjaciela, rzucił się do ucieczki.

W parku było już ciemno, jednakże dwaj znajomi z łatwością odszukali strojnista, w czym zresztą nie ma nic specjalnie dziwnego, gdyż uciekającego w ortalionowym okryciu slychać na kilometr.

— Pożyczysz płaszczek, czy nie pożyczysz? — ponowił pytanie Józef C., a ustyszawszy odpowiedź odmowną uderzył Antoniego kutakiem w twarz.

Następnie Wiktor i Józef rozpoczęli coś w rodzaju seansu sadyzycznego, na przemian wypalając papierosami nieszczęsnemu Antosiowi dziury w nowutkim płaszczu. Od czasu do czasu bili go też po głowie, ale w tej sytuacji Antoniemu chodziło już tylko o ortalionik. Widocznie cenil go bardziej od głowy i kto wie, czy nie miał racji. Z płaszcza zrobiono bowiem sito, a głowa jaka była, taka pozostała, nie licząc kilku siniaków, które — w przeciwieństwie do dziur w płaszczu — same się zagoją.

Józef C. i Wiktor Z. oskarżeni zostali o chulihański napad na nie dającego im przecież żadnego powodu Antoniego F. i osadzeni w areszcie. Ten ostatni zaś stoi teraz całymi dniami przed wystawą prywatnego sklepu, wpatrując się marzycielsko w tabliczkę z napisem „Ortaliono italiano — cena 900 zł”.

JAN M.

SALATKA DO KIESZENI

— Właściwie, to nie wiem: czy śmiać się, czy oburzać? Od dłuższego już czasu obserwuję (i odczuwam „na własnej skorze”) niedostateczne zapotrzebowanie sklepów w papier do pakowania. Rzecz wygląda szczególnie drastycznie, gdy chodzi o artykuły spożywcze...

— To przecież ogólnie znane trudności — miejmy nadzieję, że przemijające. Czy rzeczywiście trzeba z tego powodu „rozdziierać szaty”?

(Pan Łukasz popatrzył na mnie ze zdziwieniem...)

— Co za pytanie! Nie o d a r c i e szat tu przecież chodzi, lecz o zdrowy rozsądek, o podstawowe zasady higieny!... Czy nigdy nie

stał pan przed dylematem: jak donieść do domu skąpo otoczone papierem mięso, albo salatkę jarzynową?

— Hm, bywałem już w takich sytuacjach, ale...

— Tu nie ma żadnego a l e! Artykuł przeznaczony do bezpośredniego użycia nie powinien „wychodzić” ze sklepu wcale lub niedokładnie opakowany. Darujmy sobie chleb i bułki — można je jakos w teście ulokować bez większych kłopotów. Ale co począć np. z ową salatką jarzynową? Bez papieru — i to pergaminu — nie włoży jej pan przecież do teści!

— Rzeczywiście. Ma pan zupełną rację. Tylko coż mogą zrobić sprzedawcy, gdy nie otrzymują odpowiednich ilości tego n i e s z c z e s n e g o papieru?

— W każdym przedsiębiorstwie handlowym są zaopatrzeniowcy. „Na głowie powinni stawać”, a papier powinien być! A ponadto niektóre artykuły bezpośredniego spożycia można pakować w torebki plastikowe...

(Pan Łukasz ochłonął ze zdenerwowania i zaczął się nawet uśmiechać...)

— Widzę, że p r z e s z ł o już panu... Pewnie uznał pan, iż my obaj, nie znajdziemy sposobu rozwiązania...

— Nie dla tego się śmieję (bo kto wie, czy nie znaleźlibyśmy rady —

trzeba by było tylko za naszych handlowców pomyśleć)... Przypomniało mi się zdarzenie, które w a n e g d o t y w ł o ż y ć m o ż n a... Kupowałem onegdaj wspomnianą już salatkę jarzynową. Poprosiłem o 20 dkg. Ekspedientka podała mi ją na wyciągniętej dłoni w skrawku papieru, który z miejsca przemokł. Zapytałem więc, czy nie ma pergaminu. Wzruszyła wymownie ramionami i po nowiła — ze zniecierpliwieniem — gest, mający mnie zmobilizować do odebrania zamówionego towaru. Zartowałem wówczas: — Jeżeli nie ma pergaminu, proszę wspanić mi salatkę do kieszeni... (nie miałem teści). I wie pan, panie Andrzeju — poskutkowało! Pani zza lady błysnęła w szerokim uśmiechu uzebieciem i... opakowała salatkę, wprawdzie nie w coś nieprzemakalnego, ale w kilka kawałków pakowego papieru.

Szczerze (biegiem) doniosłem ją do domu jeszcze przed pełnym rozmoknięciem opakowania. Reke w której dzierżyłem ów przysmak, oblażał mój piesek, bo akurat zabrakło wody w kranie... Zwyczajnie spiętrzenie życiowych trudności...

Z taśmy magnetofonowej odczytał
ANDRZEJ TARKOWSKI



Już po raz drugi film sięgnął po temat bohaterskich, uporczywych walk mieszkańców Górnego Śląska o przyłączenie tej ziemi do Macierzy. W 50 rocznicę Powstań Śląskich film ten zrealizował Kazimierz Kutz — reżyser wywodzący się z tej ziemi i związany z nią niemi rodzienną tradycją. Jego ojciec wraz z siedmioma braćmi walczył w szeregach I Powstania. Jego wuj, rannego w II Powstaniu, dziewczęta przeniosły na drugi brzeg Brynicy, do Polski (jak rannego Gabryela w finale filmu).

„Sól Ziemi Czarnej” to film zrealizowany w konwencjach oryginalnej, poetyckiej ballady, w której wierność historycznych wydarzeń łączy się z liryczną wizją Śląska i ludzi, będących tej ziemi solą i chlubą. Bohaterowie tego filmu to ludzie prości, zrosnięci z pejzażem, szybów, hut i hałd; autentyczni z krwi i kości Ślązacy, przemawiający trudną, nie zawsze zrozumiałą śląską gwara.

(...) Pragnę w tym filmie, prezentującym rzadki przykład zbiorowej, harmonijnej idei powrotu Śląska do Polski, wyraźnie wyeksponować bohaterów indywidualnych... To nie są politycy, to patrioci, działający instynktownie. Ludzie opętani ideą Polski, choć wymarzona przez nich ojczyzna bardziej im była wyidealizowaną legendą, niż czymś konkretnym. (...) Sądzę, że jednym z typowych reprezentantów idei i mentalności powstańców powinien być Gabryel. Jego postać będzie jak gdyby soczewką powiększającą myśli i czyny ludzi „robiących powstanie” — tak określał charakter swego filmu K. Kutz.

„Sól Ziemi Czarnej” to wartościowy film historyczny, który koniecznie trzeba obejrzeć.

BOJE SZACHISTÓW

W piętnastoosobowym turnieju eliminacyjnym do mistrzostw W.P. na 1970 r. rozegranym ostatnio w przemyskim GKO Henryk Sokolowski zajął pierwsze miejsce i zakwalifikował się do dalszych rozgrywek na szczeblu centralnym.

Wbrew przewidywanom pesymistów szachista Przemysła w niedawno rozegranych eliminacjach powiatowych do spartakiady wojewódzkiej w szachach odnieśli zwycięstwo. Zajęcie pierwszego miejsca dało im prawo do udziału w rozgrywkach finału „A” spartakiady, która odbędzie się w Rzeszowie w dniu 4-5 czerwca br.

Dla Przemysła punkty zdobyli:
Na 1 szachownicy — Jan Karpinał — 4 wygrane i 1 przegrana, na 2: Stanisław Moskalski — 3 wygrane i 2 remisy, na 3: Jan Olear — 3 wygrane i 2 remisy, na 4: Jerzy Kryłowski —

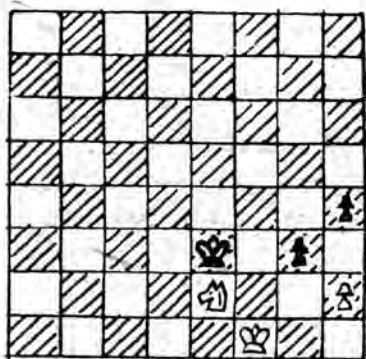
4 wygrane i 1 przegrana, na 5: junior: Józef Lusio — 5 wygranych, na 6: junior: Witold Skowronek — 4 wygrane i jedna przegrana.

Najmłodszym uczestnikiem turnieju był 13-letni K. Derbisz.

Prezentujemy ciekawą końcówkę z partii: J. Olear (Przemysł) — T. Pacer. W pozycji diagramu J. Olear (białe) zagrał słabo: 1)Sxg3?? i po 1)...hxg3, 2)h3, Kf3 partia zakończyła się remisem. Prawidłowo grając białe powinny wygrać forsownie — w jaki sposób?

Termin nadsyłania rozwiązań — 2 tygodnie. Prawidłowe rozwiązania weźmą udział w losowaniu bonów książkowych.

J. P.



WOJCIECH KOSSAK I MICHAŁ WYWIÓRSKI

WRAZ Z WYWIÓRSKI

BITWA POD SOMOSIERRA



(...) Efekt moralny szczyt był przepiękny. Paniezna trwoga, jaką nosiły z sobą uciekające wojska, rozbrzdącała Kastylję. Dalszy opór Hiszpanów stał się prawie niemożliwy. Droga do Madrytu była dla zwycięzców otwarta.

Wiosna pułku lekkokonných, gonąc uciekającego nieprzyjaciela, zdobyła miasto Buitrago, gdzie założono nową kwaterę cesarską. 30 listopada

da 1808 roku, wieczorem Tomasz Lubieński pisał z Buitrago do żony: „...Mieliliśmy wiele rozpraw, z których dzięki Opatrzności wyszliśmy szczęśliwie, a szczególnie z dzisiejszej bitwy pod Somosierrą możemy się pochwalić, że rozstrzygnęliśmy los tej bitwy za trzecie, raz po raz, uderzeniem na nieprzyjaciela. Zabraliśmy mu 13 armat, 5 sztandarów i rozproszyliśmy go zupełnie, a to w wąwozie

prawie nieprzystępnym dla jazdy. Kozietulski okrył się sławą. Biedny, lecz odważny Dziewanowski umarł, utraciwszy nogę. Niektórzy z naszych walecznych ziomków poległ, okrywszy się chwałą. Między tymi liczone trzech oficerów. Między rannymi jest dwóch rannych oficerów, którym wszakże nie grozi niebezpieczeństwo. Kozietulski miał zabitego pod sobą konia i surdut przestrelony. Stawa

tego dnia przypadła zupełnie nam w udziale (...).
Nazajutrz po bitwie — 1 grudnia, gdy pułk lekkokonných przejeżdżał obok biwaków piechoty z korpusu marszałka Victora, żołnierze francuscy z własnej inicjatywy stanęli pod bronią, wołając: Vive les braves!*) W tej chwili pojawił się cesarz i polecił pułkownikowi Krasieńskiemu sformować pułk w szeregach z wydobytymi szablami.

Gdy otrąbiono baczność, Napoleon zdjął kapelusz i zawołał: Honneur aux braves des braves!**(...)

Fragment książki Mariana Brandysa „KOZIE-TULSKI I INNI”

Fot. Z. MIKOŁAJCZYK

*) Niech żyja dzielni!
**) Cześć najdzielniejszym z dzielnych!